Janina Łagoda

Rządzenie krajem to sztuka wyrastająca z politycznego talentu, wiary w posłannictwo, merytorycznej wiedzy, racjonalnych decyzji na personalnej szachownicy etc. Wektory te pozostają w symbiozie, a każdy z nich ma swoją moc. Rzecz w tym, aby nie stały się celami samymi w sobie, lecz tworzyły sprzężony wehikuł wzmacniający Rzeczpospolitą, tj. dobro wspólne. Umiejętności te są oszczędnie przez naturę racjonowane i dostępne nielicznym, tym z licencją bycia mężem stanu, co w dzisiejszej Polsce jest deficytowym fachem.
Z tego nie zdaje sobie w pełni sprawy rzesza politykierów prawej i sprawiedliwej partii, jak i spora część ich elektoratu. Racjonalnie myślących zaczyna dusić ideowy obskurantyzm tej formacji. Przeraża bezkrytyczna dosłowność aprobowania argumentów zawartych w tzw. przekazach dnia wymyślanych w centrali na Nowogrodzkiej. Ani to strawne, ani budujące, ale na pewno bulwersujące i pobudzające społeczne podziały w myśl rzymskiej formuły: dziel i rządź (divide et impera).
Rządy wykluczające kordialność, spolegliwość, wsłuchiwanie się w głosy innych etc. prowadzą ku autorytaryzmowi. Przygnębia to, że zdania odrębne, co niektórych wrażliwych funkcjonariuszy z pocztu rządzącej kamaryli kończą się ich dymisją, komplikacjami w partyjnym członkostwie, ostracyzmem, znienawidzeniem, ale i skruszonymi powrotami na jej łono. To już ma niewiele wspólnego z honorem, ale z prywatą – owszem. Suma takich zachowań, to ordynarny marsz w przekorze do ludowładztwa.
Zdumiewa, że po latach doskonalenia demokracji, rządzący zatęsknili za niedawnym systemem, z którym się zmagali. Staliśmy się krajem paradoksów w zabieganiu o mocarstwowość i to z samobójczymi nawarstwieniami. Dziejowych faktów nie sposób wywabić, przemilczeć, ukryć, zabetonować. One takimi trwać będą w nieskończoność, co wcale nie oznacza, że tamten czas należy bezwzględnie unicestwiać lub dosłownie adoptować. Dla wielu dzisiejszych władców Peerel, to lata dzieciństwa, a dla ich rodziców, dziadków... czas twórczej pracy. Nie sposób też logicznie zinterpretować ignorowania, sekowania, nienawidzenia etc. tego historycznego rozdziału. Dzieje się to w niepojętej emocjonalnej abstrakcji, ale niestety z przełożeniem na realność.
Dla słabych duchem pozostaje tylko żonglerka miazmatami przeszłości, ale to żart wobec dzisiejszej chwili. Naiwność, kłamstwo, dyletantyzm nie mogą wypełniać władczych upoważnień jakich suweren udzielił rządzącym. Liczył na inny moduł sprawowania rządów, a stał się zakładnikiem psucia demokratycznego państwa. Przeciwko temu się buntuje. Jedną z formuł tego jest uczestnictwo w rozlicznych obywatelskich protestach, łącznie z ulicznymi. Naiwne jest usprawiedliwianie przez rządzących swojej nieudolności jałtańskimi uzgodnieniami mocarzy, którzy o zgrozo darowali nam państwo, a nie przykładowo republikę rad o kolejnym numerze. Rządzący stronią od tego faktu.
Obskurantyzm w myśleniu o Polsce ich nie opuszcza. Ewolucji w trwaniu państwowości nie sposób lekceważyć. Ale to wykracza poza percepcję wizjonerów z Nowogrodzkiej. Historia Polski, to nie okazjonalny tort, lecz konglomerat złożonych zaszłości. Ich konsumpcja wymaga wielkoświatowej finezji, a to odległe od umiejętności administrujących dzisiejszą Rzeczpospolitą, którzy bardziej ufają teleskopowym pałkom niźli rozumowi.

Rządowa konstelacja

Kadry są najważniejsze i nie chodzi o nośną sentencję klasyka rewolucyjnych przemian, lecz o rzeczywisty personalny układ dziś i tu zarządzających polskim państwem. Powierzanie kierownictwa urzędów osobom wyłącznie o partyjnych zasługach, z dala od ich merytorycznych osiągów w kompetencyjnym profilu, wieszczy zatracenie dobrego imienia RP. Bo jak inaczej można zinterpretować fakt, kiedy to po wodnistym, tandetnym serialu epatowania społeczeństwa rekonstrukcją rządu i to w momencie ofensywy koronawirusa, aby raptem doczekać się formalnej likwidacji kilku resortów i pozostawić praktycznie nie tknięty dotychczasowy personalny stan faktyczny. Agendy rządowe dostąpiły zaledwie technicznych roszad, a dotychczasowi szefowie resortów oraz ich zastępcy i inni często o marnej wyobraźni w zarządzaniu instytucjami państwa, lecz wysoko notowani na Nowogrodzkiej giełdzie, nadal pozostają w rządowo-etatowym obrocie. Ilustracji wiele, jak chociażby ta, kiedy to ministrem od wszelakiego kształcenia, tj. od przedszkola do profesora zostaje osoba o jednostronnie zasklepionym światopoglądzie wieszczącym nietolerancję, a jego zastępcą mianuje się dotychczasowego ministra od zlikwidowanego resortu edukacji narodowej o identycznym oglądzie świata, który plasował się w dole ocen tak nauczycieli, uczniów oraz ich rodziców. Z tą smutną notą pozostaje w rządzie, a jego zwierzchnik już zaczyna go prześcigać w negatywnych osądach oświatowego, w tym uniwersyteckiego środowiska. Tak egzotyczny duet niepokoi wielu, bo wieszczy wsteczny styl kształtowania dusz młodego pokolenia. Chwalebne jest to, że ono dostrzega zagrożenia i aktywnie się przed nimi broni, w różnych formułach, jak chociażby tej o strajku uczniów i studentów pod hasłami: MENczarnia i Stop demontażowi Edukacji, podjętym w dniu 7 grudnia 2020 roku.

Nie lepiej dzieje się w innych resortach oraz centralnych agendach powstałych na bazie zrekonstruowanych działów. W etatowych szwach pęka też kancelaria premiera dokąd trafiły różne postaci z likwidowanych lub reformowanych nie merytorycznie, lecz personalnie resortów. W praktyce stary rząd stał się nowym. Miast ożywczego powiewu napłynął front astmatycznego ciśnienia, którego epicentrum zlokalizowano przy warszawskiej Nowogrodzkiej. Partyjny zwierzchnik państwa zdecydował, że w tym osobliwym rządzie będzie dzierżył tekę wicepremiera od bezpieczeństwa kraju. Jak postanowił, tak też się mianował, bo to przecież on zawiaduje kadrami w partyjno-administracyjnych strukturach państwa. Sytuacja kuriozalna. Specjalista od kreowania konfliktów ma jednocześnie je neutralizować, coś na miarę podpalacza i gaśniczego w jednym. Sugeruje to rozpaczliwe zapętlenie się prezesa w doraźnych politycznych harcach, bo strategii tutaj żadnej, a wydawałoby się, że prezes jest niekwestionowanym wizjonerem. Czar prysł. Rozjeżdżają się samolubne zapędy, konfliktami obfitujące z oczekiwaniami społecznymi. Dostrzega to chyba również jego najbliższe otoczenie. Bałwochwalczy entuzjazm dla jego czynów topnieje. Sporo krytycznych sygnałów wysyła także tzw. twardy elektorat, któremu coraz trudniej pojąć i aprobować sposób zarządzania Polską w wydaniu tzw. zjednoczonej prawicy, a przegrywane bokserskie pojedynki z Unią Europejską ten niepokój potęgują. Dryfujemy ku jakiejś tajemnej, utopijnej enklawie mającej rzekomo uniezależnić nas od zgubnych wpływów reszty świata.

Arogancja prezesa i wtórujący mu chór komilitonów wobec sejmowej opozycji, która reprezentuje miliony obywateli jest wulgaryzmem świadczącym o wyrachowanym zatroskaniu o własną partyjną pozę, a nie o interes państwa. Fakt, że komisarz nawy państwowej zapragnął być jednym z konstytucyjnych strażników społecznego ładu dodatkowo gmatwa przejrzystość w zarządzaniu krajem, tym bardziej, że skład personalny kierownictwa państwa jest jego autorskim pomysłem. Trudno więc pojąć, aby raptem zamarzył być czyimkolwiek podwładnym. Może to gest rozpaczy wobec obsuwającego się władczego gruntu, albo przygotowywanie

pozycji wyjściowej do nieodgadnionego otwarcia. Patrząc na policyjno – ochraniarskie kordony wokół Nowogrodzkiej i Żoliborskiej siedziby prezesa trudno uwierzyć, aby mógł nawiązać realny kontakt z krajową i międzynarodową, w tym unijną realnością, a tam nasze finansowe wspomaganie. Traktatowe uprawnienia i zobowiązania odbiera wyłącznie we wrogich kategoriach rzekomo ograniczających suwerenność Polski. Argument naiwny, bo każda umowa międzypaństwowa takie przesłanie niesie, tym bardziej unijny pakt, który bodaj najbardziej stępia swawolę i apodyktyczność prezesa w zarządzaniu krajowym podwórkiem. Stąd rozrywanie szat przed wyimaginowanym zatracaniem niepodległości.
Obskurantyzm rządzących jest łagodnym słowem określającym ich czyny, a one godzą wprost w obywatelskie zastępy europejczyków, których krajowe szeregi rosną. Tego trendu rządzącym ignorować nie wolno. Prawa i sprawiedliwa partia w utopijnym stylu podjęła walkę z nieodwracalnym pędem. Donkiszoteria w czystej postaci z zadziwiającym wstecznictwem i potęgowaniem waśni. Polska na to nie zasługuje. Ale atawizm nie odpuszcza.
Unijne kryterium praworządności zatruwa pogodę ducha rządzącej koterii. Cherlawa to formuła patriotyzmu szkodzącą wizerunkowi Polski i jej społeczno-gospodarczym rozwojowym pragnieniom. Dla tej ekipy liczy się tylko krajowe podwórko, bo na nim są rozsypane odsetki poparcia konieczne dla bycia ważnym w rządzeniu państwem. Bojaźń przed utratą władzy paraliżuje zdrowy osąd i jest powodem desperacji oraz innych irracjonalnych zachowań wodza tzw. zjednoczonej prawicy, dla którego otwartość na innych fikcją błyszczy, a przecież o pozycji państwa we współczesnym świecie ważą nie prowincjonalne krajowe personalne układy w stylu: ja zostanę ministrem, a ty sołtysem, albo odwrotnie, lecz bycie aktywnym na światowych salonach i zajmowanie tam ważnych stanowisk, tak w myślowym, jak i praktycznym wymiarze, bo to one dzisiaj ważą na pozycji Polski w świecie. Ma to proste przełożenie na jakość życia obywateli w kraju. Jeśli rządzący nie pojmują tego abecadła, to cóż po takich władcach.
Deklaracje o umiłowaniu ojczyzny wszechobecne na ustach politykierów są otulone patyną fałszu. Egoizm wziął górę z przerzutami na psucie międzynarodowych relacji i to tylko po to, aby w kraju być na świeczniku i kultywować autarkię dawno zapomnianą przez unijne państwa. Taki sposób myślenia zdaje się być celem zasadniczym tej formacji, która bez należytych analiz i dyplomatycznej finezji wypowiedziała, ot tak po sarmacku z liberum veto włącznie, wojnę UE, lekceważąc obywatelską referendalną wolę. Rządzący raptem zapomnieli o genezie wejścia na ten intratą wymoszczony grunt. Dotąd nie kwestionowali tego, że to formuła rzekomo równoważna z utratą suwerenności. W momencie zbiegu personalnych przetargów o prymat władania tzw. zjednoczoną prawicą w kraju i dyskusji nad kształtem unijnego budżetu na kolejne siedem lat, rządzący raptem wszczęli lament nad możliwością utraty autonomii przez Polskę. Nie potrafią sensownie umotywować tego wstecznictwa i wskazać przynajmniej jedno unijne państwo, które czyha na naszą niezawisłość. Ten absurd dodatkowo żłobi to, że rzekomo nam wrogie państwa godzą się na to, abyśmy byli największym beneficjentem unijnych finansów. Tzw. zjednoczona prawica tego nie ogarnia i nie potrafi przekonać dla swoich mrocznych poglądów zdziwioną większość społeczeństwa, ale i unijnych współbraci. Kolejna kwadratura koła w polskich dziejach.
Wszystkie inne państwa, które w tym klubie się znalazły takiego zagrożenia dla siebie nie wieszczą, no może poza Węgrami, ale taktyka tamtego rządu jest bardziej finezyjną we władczym egoizmie od zawiadowcy naszego kraju. Kolejna aberracja dobrej zmiany, wzbudzająca gniew traktatowych partnerów za grożenie wetem wobec unijnego budżetu, na który wszyscy członkowie tego zjednoczenia niecierpliwie oczekują, łącznie z nami. Po buńczucznych ekspiacjach niepokalanych rycerzy, kolejny raz musieli wywiesić białą flagę.

Występowanie przeciwko zjednoczonej Europie, to zwyczajne szaleństwo, które tylko klęską może być wieńczone. Efekty tego zniecierpliwienia innych zaczynają już przybierać realne kształty, np. holenderski parlament, w zgodzie z zapisem własnej konstytucji, upoważnił rząd do zaskarżenia Polski przed Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) za naruszanie traktatowych zasad praworządności.
Dlaczego rządzący nami usiłowali pozbawić inne kraje i siebie samych unijnego finansowego zasilania? Tego w logicznych kryteriach zinterpretować nie sposób. Ów nonsens wskazuje na to, że to rząd nadwiślańskiego kraju czyni wszystko, aby ograniczyć własną suwerenność, rezygnując z lukratywnych wspólnotowych interesów. Jest to także szantaż wobec państw UE. Tego nieprzyjaznego gestu państwa członkowskie zapewne rychło nie strawią. Będzie to surowa krytyka, której początki już są oznajmiane. Bycie w UE to zespołowa gra. Błędy mogą być usprawiedliwiane pod warunkiem, że sprowokowały je nieprzewidziane okoliczności. Aktualny przypadek Polski tego kryterium nie spełnia, bo to zwyczajna premedytacja bliska rozbijackiej polityce, nie przystającej do demokracji.
Dostrzegają to państwa członkowskie i chyba nie będą miały zahamowań w rewanżowych krucjatach wobec RP, jako septycznego obszaru. Tłumaczenie, że unijny traktat nas zniewala, to zwyczajny bełkot przypominający opowieść o psie ogrodnika: ja nie skorzystam z profitów sadu, ale inni również. Polsce na gwałt jest potrzebny tęgi charyzmatyczny myśliciel i zarządca w jednym z obywatelską plenipotencją.
Choroba niedorzeczności i krótkowzroczności drąży prawą i sprawiedliwą formację, spychając RP w perspektywę tragicznych następstw. Może to jej znak rozpoznawczy, a okrzyk partyjnego aktywisty dbającego o swoje stanowisko: weto albo śmierć, wobec dobrodziejskiego dla nas unijnego budżetu w różnych jego bilansowych odsłonach, jest tego dowodem. Bycie w unijnym kolektywie jest szansą na dobrobyt, jakiego RP nigdy nie zaznała. Wicepremier od bezpieczeństwa chyba nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie wiadomo czemu ma służyć jego zacietrzewienie w ekonomicznym osłabianiu Rzeczpospolitej, a na patriotę się kreuje.
Sondażowe wskaźniki dla bycia w UE przygniatają przeciwników. Prezesowi tzw. zjednoczonej prawicy zapewne nie są obce zróżnicowane osądy, również jego elektoratu, ale je lekceważy w imię braterskiej myśli oznajmionej swego czasu przez brata-bliźniaka: spieprzaj, dziadu.
W geopolityce liczy się koncyliacja powściągliwością znaczona. Rządzący w tym się gubią. Nie łagodzą tego rozliczne tzw. konferencje prasowe, których drętwa treść nie odbiega na milimetr od nowogrodzkiego przekazu dnia, a regułą stało się wzbranianie przed dziennikarskimi pytaniami; gorzej, bo prowadzący je usiłują pouczać dziennikarzy, jak mają relacjonować przekazywane im wieści
o czynach zjednoczonej prawicy. Ma to być zachwyt, a nie polemika i krytyczne uwagi. Dlatego też prezes marzy o byciu naczelnym redaktorem wszelakich mediów. Szef Orlenu z Pcima wzięty, już wyszedł naprzeciw pragnieniu swego zwierzchnika, kupując mu na gwiazdkowy dar Polskę Press. Wszystko odbywa się kosztem podatników. Orlen miast zasilać budżet państwa zyskami z wydobycia, przetwórstwa i handlu ropą naftową marnotrawi siły i środki na wspieranie politycznej koterii, tylko po to, aby w zaściankach wygrała jakieś wybory. I co dalej z polską mocarstwową budowlą wznoszoną w atmosferze zagęszczanej waśniami. Tak nieroztropna opcja kojarzy się z niedawnym historycznym zawołaniem: nie oddamy guzika, a po chwili straciliśmy skarb - Rzeczpospolitą. Antagonizowanie międzynarodowego otoczenia zazwyczaj kończy się klęską dla inicjatora takiego poruszenia.

Czyny o potędze świadczą

Obok patetycznych haseł o patriotyzmie, suwerenności, niepodległości, mocarstwowości, przedmurzu chrześcijaństwa, obrony Zachodu przed zalewem komunizmu, socjalizmu przed czym sami nie potrafiliśmy się obronić etc., tak hojnie emitowanych przez rządzących, na margines została wypchnięta dbałość o prawno-ekonomiczne fundamenty państwa. A przecież synchronizacja patriotycznych przymiotów z finansami i praworządnością jest solidną kartą przetargową, zarówno w politycznych relacjach wewnątrzkrajowych, a nade wszystko w bilateralnych międzypaństwowych układach. Dziwi ignorowanie tego elementarza. Arogancja eksponowana przez tzw. zjednoczoną prawicę jest bliska sabotażowi popełnianemu na organizmie własnego państwa. Może to jakaś wersja patriotyzmu dotąd jeszcze niezidentyfikowana. Ale w rzeczywistości istnieje tylko jeden rodzaj patriotyzmu, gdy człowiek z bezwarunkową wiernością i prawdziwym wysiłkiem, sumiennie wykonuje swoją pracę. Skutki takiej postawy promieniują na jego ojczyznę. Autorem tej myśli jest bratanek – Węgier, Sandor Marai (1900-1989), niemal wieczny emigrant, który w dzisiejszej ojczyźnie chyba też nie miałby łatwego życia.
Frustracja wzmaga konflikty. Jeśli buta bierze górę nad koncyliacją, wówczas polityczno-gospodarcze straty stają się oczywistością. Rządzący krajem usiłują, kosztem niszczenia racjonalnych relacji z UE, budować swój krajowy autorytet. Izolacyjna formuła funkcjonowania państwa jest utopią. Romantyzm jednak nie odpuszcza, a z nim zgubne wyobrażenia o satysfakcji z wygranej na własnym podwórku, kiedy to bieda zaczyna skwierczeć. Fantazyjne myśli rządzących o utracie suwerenności graniczą z zagubieniem hasła do bajkowego sezamowego skarbca.
Polsce nadal towarzyszy niespotykana przychylność międzynarodowej konstelacji, mimo buńczucznych czynów i wypowiedzi rządzących wobec innych państw. Gdzie więc doszukiwać się satysfakcji z ewentualnej wygranej na krajowym podwórku, kiedy to społeczna rodzima baza oligarchów staje na chwiejącym się ekonomicznym rusztowaniu. Wygrać wybory w kraju, to ważna rzecz, ale o wiele trudniejsze jest międzynarodowe uwiarygodnienie takiego sukcesu. Prostackie agitacyjne przesłania to żwir wrzucany do mechanizmu unijnej współpracy. Obsesyjność panujących wobec zagranicy trąci kolejnym zamętem.
Liczy się gospodarka głupcze (Bill Clinton). I ta sentencja nie powinna opuszczać myślowego procesu modelowana ekonomicznych priorytetów, w których realność jest bezdyskusyjna. Partykularyzm, jeśli bierze górę, oznacza wstęp do bankructwa. I tak marzenia o wielkości trafiły na grunt miałkości. W tej sytuacji wydaje się, że niebłahym zagrożeniem dla suwerenności Polski jest rządząca ekipa, która w ferworze politycznego harmidru nie potrafi, nie ma ochoty, albo czasu na sporządzenie bilansu zysków i strat w partyjnym i nade wszystko dyplomatyczno - gospodarczym wymiarze. Woli tworzyć raporty o problemach w przestrzeganiu prawa np. w Niderlandach, aby przykryć tragiczny stan praworządności w Lechistanie. Żałosna taktyka. Mściwość, ale też odbój od ściany do ściany wpisują się w rodzimą taktykę sterowania państwem w stylu: dzisiaj zamykamy stoki narciarskie, a jutro je otwieramy, aby pojutrze wrócić do punktu pierwszego. Rzecz w tym, że zamęt ma swoją cenę, także w wizerunkowym oglądzie. Zarządzanie chaosem jest sztuką, ale i jej nie posiedli inicjatorzy bałaganu.
O suwerenności można uczenie rozprawiać, ale nie wolno bez dowodów zarzucać innym, że usiłują ograniczyć naszą niezależność. Werbalne miotanie się na unijnym podwórku przypomina dyskurs z magla wzięty, szkodzący interesom kraju. Ojczysta dyplomacja została zepchnięta na margines. Doszło do tego, że dzisiaj nie wiadomo kto ją kreuje: prezydent, rząd, ministrowie, partyjni notable z Nowogrodzkiej etc., a może tylko prezes? I to ostatnie przypuszczenie zdaje się górować. Galimatias jest swoistym bytem w zarządczym obszarze

zawiadywania państwem. Ma jednak drugie dno, jest marszem ku bagnistej dolinie niemoty. Warto, aby nasi oligarchowie, mający pełne usta frazesów o niepodległości raczyli zastanowić się nad własnymi obskuranckimi czynami, zwłaszcza tymi odnoszącymi się do unijnych finansów. Winna ich też dostąpić refleksja, czy, aby nie ingerują w suwerenność innych państw. W tym punkcie pieniądz emanuje niezależną mocą.
Niepokoi to, że rząd stroni od zdroworozsądkowych analiz, konsultacji z zainteresowanymi gremiami, wnikania w eksperckie opinie etc. Arbitralność zaś musi mieć solidne fundamenty, a nie ruchome piaski. Nie dziwią więc pojawiające się coraz częściej żądania ustąpienia infantylnego rządu. Gdyby ogłosił dymisję, byłaby to bodaj jedna z rozsądniejszych jego decyzji. Ale na rozbiórkę tej rachitycznej budowli nie zgodzi się jej główny architekt i zarazem konserwator przebrzmiałych idei. Ten rząd z własnej woli nie zdymisjonuje się, bo w nim przecież na etacie, chyba nie śmieciówce – prezes. Byłby to prawdziwy finał aspirującego do tytułu emerytowanego zbawcy narodu, coś na modłę lokatora Sulejówka, ale to inny czas i inne formaty osobowości.

Mutacje praworządności

Wydawałoby się, że praworządność ma tylko jedno imię i w najprostszej formule zakleszcza się w czynach zgodnych z prawem. Natomiast dla aktualnie władających praworządność jest wówczas, kiedy ich prawo, mizernej jakości nie będzie kwestionowane. Nonszalancja zbiega się z myślą Pitagorasa (ok. 572 - ok. 497 p.n.e.) o dotąd nierozwiązanym problemie kwadratu równego polu koła, napędzana demagogią w interpretowaniu prawa, także tego wypływającego z traktatowych porozumień. Zatrważa to, że wielu z rządzącej ekipy powiela antyunijny jazgot w obronie naszej tzw. wzorcowej praworządności. Stanęli w ordynku przeciwko zjednoczonej Europie, która rzekomo nas atakuje, ograniczając swobodę w samostanowieniu. Unia okazuje cierpliwość, i co więcej daje pisowskiemu rządowi szanse bycia racjonalnym partnerem. Ale nierozsądne zacietrzewienie krajowych możnowładców nic dobrego nie wróży. Stajemy się sierotami w tym zdroworozsądkowym klubie. Finał bezmyślnych unijnych zwarć inspirowanych przez rządzących, nie może doczekać się pragmatycznego ujście. Odgrażanie się posiadaniem własnego skarbca, nawet tego ostatnio wzmocnionego złotem, zgromadzonym przez przodków, a niedawno w części przywiezionym z Wielkiej Brytanii, gdzie był zdeponowany, można co najwyżej potraktować jako zapowiedź ekonomicznych perypetii, a nie zabezpieczeń przed kryzysem. I wstrzymaniem dopływu unijnych środków.
Państwa członkowskie UE, poza Polską i Węgrami, opowiadają się za jednoznacznym powiązaniem wspólnotowych funduszy z literalnym przestrzeganiem prawa. Dla nich i większości naszych rodaków, to oczywistość, zważywszy, że w grę wchodzą niebagatelne kwoty na rozwój kraju i to zarówno w Wieloletniej Ramie Finansów UE 2021-2027 (główny budżet), jak i z Funduszu Nowa Generacja UE (wsparcie poszkodowanych przez pandemię). Rzetelność obrotu finansami wymaga, poza zwyczajną uczciwością, prawnych gwarancji i niezawisłych sądów, jako że pokus wiele. W tej oto ekonomicznej prozie potęgę panicznego zatrwożenia u naszych rządzących wywołało unijne rozporządzenie uzależniające przelewy finansów od stanu praworządności w każdym z państw, nie tylko u nas. Skąd ten nagły objaw bojaźni niezłomnych z Nowogrodzkiej. Przecież dobra zmiana miała być etalonem praworządności warunkującej trwanie w demokracji i na takiego się nadal kreuje. Obłudność intencji potwierdza proza dnia dzisiejszego, kiedy to mamy do czynienia nie z merytoryczną korektą wymiaru sprawiedliwości, a jedynie prymitywną, uznaniową, arogancką, prowadzoną z

przytupem edycję weryfikowania kadr wedle kapturowych kryteriów. Tę funeralną sztukę do perfekcji opanowała dobra zmiana.
Okazuje się, że to, co do tej pory uczynili w wymiarze sprawiedliwości nie przystaje do elementarnych reguł bycia państwem prawa. Dlatego też w straceńczym, niemal hazardowym amoku stawiają na szali finansowe korzyści dla kraju, a to ogromne kwoty, tylko po to, aby unijne instancje odstąpiły od łączenia wypłat ze zmianami organizacji wymiaru sprawiedliwości w Polsce pisowskiego autorstwa. Rzeczywistość nie konweniuje z intencjonalnymi czynami tzw. reformatorów. W sytuacji kiedy to minister od sprawiedliwości jest i posłem, i prokuratorem generalnym, i nadzorcą sędziów, i szefem kanapowej partii w jednym, szermowanie hasłem o poszanowaniu prawa i trójpodziału władzy wydaje się obrazoburczą farsą, bez szans na oczekiwane powicia doskonalących praworządność w Polsce. Efekt tego taki, że rządząca ekipa stara się za cenę lansowania bzdurnych haseł o rzekomej utracie suwerenności, skrywać swoją niedołężność i polityczny egoizm w tworzeniu partykularnej wersji funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości w RP. Niewytłumaczalna jest bojaźń władców przed rządami prawa. Praktyczna realizacja eksponowanego wyborczego hasła o potrzebie ulepszenia praworządności, stałą się dzisiaj wymownym symbolem upolitycznia prawa w jego organizatorskim bycie. Pięć lat starczyło, aby dwie osoby: prezes i minister od sprawiedliwości wespół z zastępami pretorianów połamali demokratyczne reguły tylko po to, aby ich własne samolubne wymysły błyszczały.
W tej chwili do pełnej rozkoszy pozostało ostateczne spacyfikowanie sędziowskiej braci, ale to trudność gigantyczna, bo jej korpus liczny, a dla większości z nich prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość – sprawiedliwość (Julian Tuwim – 1894-1953, któremu prawo nie było obce). Minister od sprawiedliwości o niespotykanych w demokracji uprawnieniach, wtargnął także w sferę kształtowanie struktury i obsady personalnej Sądu Najwyższego (SN), ignorując werdykt TSUE oraz Izby Pracy i Ubezpieczeń Społecznych SN, że Izba Dyscyplinarna SN nie jest sądem ani w rozumieniu prawa Unii, ani prawa polskiego. Żeby było bardziej swarliwie, to wieloletni prezes tej Izby oczekuje na utratę immunitetu, tylko dlatego, że fragment jego życiorysu, z racji urodzenia, zahaczał o miniony czas. Nici tej decyzji prowadzą do gabinetów przy warszawskiej Nowogrodzkiej, Alejach Ujazdowskich (siedziba Ministerstwa Sprawiedliwości), ale Krakowskim Przedmieściu. Trwa jazda i to na wysokich obrotach ku pastwieniu się nad niewygodnymi dla władzy utalentowanymi prawnikami, miast garściami korzystać z ich wiedzy i doświadczenia. Może ważą nad tym kompleksy z czasów studiów i późniejszych prawniczych praktyk co niektórych decydentów, ale to już dziedzina psychologii. Z drugiej strony trwoży fakt, że sędziów z politycznego nadania nie dostąpiła refleksja co do uczestniczenia w tym anarchizującym prawo spektaklu. Chwilowe apanaże i bycie w mediach to negatyw przed zdjęciową odbitką, której i retusz nie pomoże w odzyskaniu wiarygodności. Przymilność do władzy, która ich nominowała ma też swój kres, często brutalny.
Stawianie tamy przed wglądem międzynarodowych instytucji w system funkcjonowania sprawiedliwości jest prymitywnym obronnym chwytem. Dotychczasowy efekt racjonalizowania wymiaru sprawiedliwości przypomina kosmiczną drogę, której uczestnicy są pozbawieni należytego nawigacyjnego oprzyrządowania. Po co więc obywatelom instytucje państwa, w których dochodzenie sprawiedliwości przed sądami przypomina golgotę.
Obywatelskie przejawy wstrętu do poczynań rządu są widoczne i to niemal codziennie, także na ulicach polskich miast, miasteczek, wiosek. Jeśli rządzący nie wyciągną z tego wniosków, to ich kres jest nieuchronny. Zawsze jest szansa na dialog, ale wymaga to dobrej woli, uczciwości i roztropności, a nie rzucania brutalnych haseł w stylu: macie krew na rękach, nie powinno być

was w tej izbie etc., dedykowane posłom opozycji, za którymi przecież miliony obywateli, którzy ich wybrali. Prezes chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówi. Brak mu też odwagi, aby przyznać się do tego, że jest inspiratorem owych protestów, które cementują obywatelskie więzi w sporze z władzą. Tak nie postępuje strateg, lecz co najwyżej narcyz. Z tej kipieli wyłania się zagubiony człowiek z poturbowaną logiką i zwichrowaną taktyką, wykluczającą jakąkolwiek koncyliację, dialog, partnerską dyskusję o Polsce etc. A może to parafraza komedii Wielkiego człowieka do małych interesów, Aleksandra Fredry (1793-1876).

* * *

Rodzime geny co chwilę dają o sobie znać, stając w przekorze do pomyślnego rozwoju kraju. Ale żeby się objawiły muszą mieć życiodajną elektorską pożywkę. Okazuje się, że na polskim gruncie jej podaż jest nadal obfita. Natomiast gesty pojednania z trudem zapełniają margines. Rosną zastępy tych, którzy z okrzykami na ustach o wolności, suwerenności, patriotyzmie, honorze, posłannictwie w obronie tylko im znanych wartości, zatracają kontakt z rzeczywistością. Konsekwencją tego jest postępujący rozgardiasz na krajowej politycznej scenie z przerzutami na rozbijackie tendencje w relacjach z zagranicą. Historia sypie przykładami, kiedy to rozbuchane ambicje zarządzających Polską raptem ją traciły w różnych konstelacjach. Dzisiaj rządy tzw. zjednoczonej prawicy grawitują ku niezidentyfikowanej samoistnej Polsce. Szaleńcza to myśl o infekującej mocy, ale placet temu dał po części suweren. Być może, co niektórzy żałują tamtego swojego skreślenia. Szansą na korektę owej nieroztropności jest udział w kolejnym głosowaniu. A i wtedy nie ma gwarancji, że dzisiejsze wątpliwości zaowocują odmiennymi refleksjami. Wybaczanie, zwłaszcza dla katolików to ewangeliczny nakaz. I w tym świątobliwym punkcie realizm często przytłacza wiara. Na złożoność problemu wskazują wyznawcy innych religii, którzy wprawdzie nie pretendują do nadzwyczajności, ale w pokorze służą krajowi w doczesnym realizmie. To też obywatele tego kraju, którym rydzykowe poddaństwo ministra od sprawiedliwości i nie tylko jego, nie mieści się w żadnym kanonie wyznawanej wiary.
Zjednoczona prawica, zwyciężając po raz wtóry w parlamentarnych wyborach, ale nie na tyle, aby samodzielnie modyfikować Konstytucję RP, jak jej jedyny w tej chwili najbliższy zagraniczny węgierski partner, stała się na tyle zuchwała wobec reszty społeczeństwa, że postanowiła scentralizować państwowe instytucje w niezbyt okazałym partyjnym budynku na warszawskiej Nowogrodzkiej. Tam to bowiem władcza myśl znalazła przytulisko.
Nadal problemem pozostaje tzw. reforma wymiaru sprawiedliwości w edycji rządzących. Jej dotychczasowym syntetycznym efektem jest niebotyczny zakres uprawnień nadanych ministrowi od sprawiedliwości w zakresie swobodnego dysponowania karierami sędziów i prokuratorów aż po uprawnienia do ingerowania w toczące się postępowania, oddala kraj od demokracji. Polityczność Krajowej Rady Sądownictwa (KRS), zawieszonej w członkostwie Europejskiej Sieci Rad Sądownictwa (ENC) jest smutnym wzorcem wybiórczego stosowania prawa. Uzupełniając ten prawniczy koktajl sytuacją w Sądzie Najwyższym i deformacją Trybunału Konstytucyjnego, to niezawisłość osądzania zaczyna pozostawać w odległości od sprawiedliwości. Stan rzeczy niespotykany w państwach szanujących demokratyzm. Nie da się spacyfikować zastępów sędziów dochowujących przysięgi
o prymacie niezawisłego osądzania, co optymizmem tchnie.
Władza ustawodawcza (większość sejmowa), wykonawcza (rząd jednopartyjny) i sądownicza w niepełnym niezawisłym wymiarze, zostały wplecione w obskuranckie interesy partyjnego guru, a

to nowotwór toczący ludowładztwo. Unia Europejska w szoku, bo państwo, które zabiegało o bycie w tej pragmatycznej wspólnocie i dotąd w niej z powodzeniem funkcjonowało, raptem popadło w amok chęci reformowania UE wedle własnego, bliżej nieokreślonego (jak zwykle) wzorca. Pomysł z piekła rodem, wywołujący niedowierzanie innych państw, no może poza Węgrami. Usprawnienia są mile widziane, ale demolowanie pryncypiów trąci nierządem. Nagła eksplozja rewizjonizmu tyczącego zasad funkcjonowania UE ma prozaiczną przyczynę, wypływającą z frakcyjnych animozji w obrębie coraz mniej zjednoczonej prawicy rządzącej Polską. Koronną przyczyną tych straceńczych refleksów jest problem krajowej praworządności, tak doskonalony, że nie tylko UE, ale i inne znaczące państwa spoza niej (np. USA), wyrażają zaniepokojenie wzruszaniem fundamentów państwa prawa.
Desperacja rodzimych politykierów, którzy za pozostanie u władzy są gotowi poświęcić w hazardowym trybie nie tylko własny honor, ale i olbrzymie środki finansowe dla kraju, które w sprzężeniu zwrotnym warunkują naszą suwerenność jest wielce niebezpieczna. To surrealizm w czystej postaci. Trzeba być idiotą, aby rezygnować z bycia liczącym się unijnym partnerem. Zrozumienie pojęcia samozatracenie chyba przekracza poziom percepcji panujących. Zarządzanie budżetowym deficytem jest równoważne z agonią państwa. Co na to suweren? Krytyczne pohukiwania z jego strony są wprawdzie słyszalne, ale skrytość wyborczych urn jest zawsze nieodgadnionym znaleziskiem. Jest to prawda czasu i prawda urn wyborczych, parafrazując myśl Stanisławów: Barei i Tyma, reżyserów kultowego Misia.
Samobójstwem tchnie pycha władców zbratana z ignorancją wobec respektowania unijnych reguł, kiedy to one wznoszą kraj na wyżyny, a nie naiwne hasła sprzeciwu, wyzbyte intelektualnej roztropności. Nie ma też przesłanek, aby nasz zdeformowany wymiar sprawiedliwości stawiać za wzorzec państwom unijnej wspólnoty. Upór rządzących zatrważa. Klęska autorów tzw. reformy wymiaru sprawiedliwości wyzwoliła w nich zacietrzewienie w obronie swego wątpliwego pomysłu. Dowodów bez liku a gruntują je, co rusz wznawiane unijne plenarne debaty o problemach prawa w Polsce. Jeśli uzupełni się to orzeczeniami TSUE, raportami Komisji Weneckiej, decyzją Europejskiej Sieci Rad Sądownictwa, krytycznymi opiniami ważkich prawniczych gremiów oraz indywidualnych autorytetów, to porażka idei reformowania krajowego obszaru sprawiedliwości jest faktem. Zatem jej twórcy winni w pokutnych szatach zmierzać ku Kanossy (wł. Canossa).
Szukanie wsparcia dla swoich idei w kościelnych strukturach, w tym czołobitność wobec rydzykowej enklawy, to szatański napar gmatwający ewangelię z judaszowymi srebrnikami. Polski Kościół traci siły i to z własnej przyczyny. Więź ołtarza z tronem zawsze wzmacnia obopólny deficyt wiary. Krajowemu Kościołowi zapodział się brewiarz, a górę wziął materializm w jego najgorszym objawieniu. Episkopat miast wzbogacać szlachectwo ewangelii płaszczy się przed hazardowymi ofertami państwa, stawiając na szali własny autorytet. Liturgiczny przepych poplątany z rządowymi finansowymi darowiznami tworzy niebezpieczną matnię wzruszającą opokę powszechnego Kościoła w Polsce. Wierni zaś doznają rozterek w rozumieniu symbiozy ołtarza z tronem. Rolą duchownych jest łagodzenie rozdarć rozumu. Efekty tego niedostrzegalne, ale ze skłonnością do ich pogłębiania, jak ostatnio, wspieranie orzeczenia TK w sprawie aborcji. Przychylając się do doktryny obrony przez Kościół prawa do życia poczętego nie można czynić z tego oręża w bieżących politycznych przyziemnych kłótniach i zalecać tę doktrynę jako konstrukcję kazań głoszonych w Bożonarodzeniowej chwili. Polski biskupi areopag, poza pysznymi strojami i dbałością o finanse, zwyczajnie gubi wiernych, a więc opokę.

Wnioski płynące z rozległych dyskusji, polemik, protestów kwestionują zaściankowy, waśniami

wypełniony sposób zarządzania państwem. Dobro obywateli jest niedostrzegane. I nie idzie o propagandowe rozdawnictwo budżetowych rezerw, będących własnością obywateli bez pytania ich o zgodę, ale o zdroworozsądkową, długodystansową politykę socjalną wolną od międzywyborczego marketingu. Tego rządu na to nie stać, ale czy następny temu podoła?
W sytuacjach krytycznych gotowość, zwartość i odwaga, pudrowane napuszonym zawołaniem: Bóg, Honor, Ojczyzna, nie zawsze zwycięstwami błyszczały. Buńczuczność, to mizerny oręż. Ostatnio ten zestaw okolicznościowych haseł został uzupełniony słowem narodowy, odmienianym na różne sposoby. I już wzbudza kontrowersje, poczynając nazewniczy inflacyjny proces. Gorzej, bo wpisuje się w nacjonalistyczne opcje. Polska jest krajem różnych nacji posiadających polskie obywatelstwo. Demagogia rządzących w tym punkcie może przywoływać na pamięć biesy przeszłości z ich tragicznymi skutkami włącznie. Ale wydaje się, że i dzisiaj górę wzięła troska o doczesne apanaże. Warunkiem istnienia demokratycznego kraju jest wolność, jak dostrzegł Arystoteles (384-322 p.n.e.), zwolennik demokracji i zarazem jej krytyk, ale zawsze poszukujący sposobów jej doskonalenia. Współcześnie też tak się dzieje, pod warunkiem, że państwami sterują piloci z aktywnymi uprawnieniami.

Janina Łagoda